



KLEPSYDRA

Napisali: Janusz Mil, Sławomir Mil

Ilustrował: Przemysław Bytoński

...Zbliża się mój czas. Aktywność Edgara wyraźnie słabnie. Widzę przez szybę oddzielającą mój pokój od pracowni, że już nie pracuje. Porządkuje notatki, robi jakieś uwagi na marginesach, ale jest to tylko próba przekonania siebie, że zostało jeszcze dużo czasu do zabiegu. Mnie nie oszuka. Jeszcze dwie, trzy godziny bezproduktywnego krzątania się, potem z osiem godzin snu, ze dwie na pobudzenie wstępne i przyjdzie moja kolej. Oczywiście, przedtem jeszcze sam zabieg. Przy mojej rutynie to kwestia kilku minut. Cóż może być prostszego, jak pobranie frenonu od Edgara, przefiltrowanie i ustabilizowanie go, a w końcu wstrzyknięcie sobie. Trudniej jest jemu. Jako matematyk nie miał żadnej styczności z zabiegami medycznymi, ale przecież z czasem i tak doszedł do jakiejś takiej wprawy. Zresztą on ogranicza się tylko do pobrania frenonu ode mnie. Filtrację ja przeprowadzam i ja robię mu zastrzyk, ale to tylko dlatego, że w przeciwnieństwie do niego, nie mdleję po oddaniu frenonu. Niedługo będzie musiał sam to robić, bo coraz gorzej przetrzymuję kolejne przejścia w stan pasywności. Przecież mamy już za sobą trzydzieści osiem pełnych cykli, nie licząc tych pięciu, gdy obaj byliśmy uaktywnieni trzydziestoprocentowym frenonem pobranym od Freddiego. A więc już trzydzieści osiem razy byłem dawcą. Od dłuższego czasu przebiega to podobnie...

... Zachować spokój i, w miarę możliwości, wprowadzić się w jak najlepszy nastrój. Zresztą BSD zaczyna już działać. Umysł staje się przejrzysty, jasny, kryształowo wręcz czysty. Wszystkie barwy nabierają zadziwiającej ostrości. Inne zmysły także są zaostrome. Czują każdy organ swojego ciała, każdą jego komórkę, niemal każdy atom...

...Czas już posłuchać nagrań Freddiego, uaktywnionego, oczywiście. Nikt by nie uwierzył, co człowiek może wydobyć ze zwykłych organów Hammonda. Ciekawa będzie reakcja Freddiego, gdy kiedyś się dowie, że to jego muzyka. Dziwne, ale Edgar odnosi zupełnie inne wrażenie. Chyba żadna muzyka nie ma wpływu na niego. Przecież nawet pobudzenie wstępne osiąga, jak sam twierdzi, przez całkowite wyłączenie się spod wpływu otoczenia.

No, i nie osiąga go w takim stopniu jak ja. Robię chyba więcej dla niego niż on dla mnie. Potwierdziły to nawet badania stężenia frenonu. Zresztą nie jest to takie pewne. Tylko trzy razy je przeprowadzaliśmy. Przecież w tej fazie badań nie można tracić frenonu na cokolwiek innego niż wprowadzenie któregoś z nas w stan aktywności. Edgar uważa nawet, że dawanie resztek Freddiego to czyste marnotrawstwo. Dla mnie jego gra jest tego warta. No, i stanowi to część jego terapii...

... Jest już Edgar ze strzykawką. Siedzę pokornie, czekam, aż stal igły zachrzęści o moje kręgi szyjne. Jest to bolesne, na pewno. Ale znacznie gorsze jest uczucie fizycznego wręcz pozbawienia człowieka całej jego aktywności, całej energii życiowej, całej osobowości nieomal. Edgar powiedział kiedyś, że gdy on jest dawcą, czuje się tak, jakby wampir wysysał z niego duszę. Sam czasem myślę, że tak jak matką chemii była średniowieczna alchemia, to prekursorów naszych badań należy szukać wśród bohaterów starych legend o wampirach czy sprzedawaniu duszy. Przecież gdyby w tej chwili tłok strzykawki w rękach Edgara przesunął się poza granicę 1,3 cm³, nieodwracalnie spadłbym umysłowo do poziomu debila...

... Już. Z trudem przełamuję wszechogarniającą depresję i niechęć do jakiegokolwiek, najmniejszego nawet wysiłku. Ale muszę. Szybko odfiltrowuję rozkładający się frenon, uaktywniam go i stabilizuję, a w końcu wstrzyknę Edgarowi. Reaguje natychmiast. Żrenice rozszerzają mu się prawie skokowo, a przez mięśnie twarzy i rąk przebiegają gwałtowne drgawki. Trwa to około minuty, a potem następuje raptowna przemiana. Wzrok nabiera ostrości, twarz skupienia, a ruchy precyzji. Bez słowa wstaje i nie patrząc nawet na mnie, przechodzi do pracowni. A ja, wyczerpany tym wszystkim, popadam w kompletną apatię, przechodzącą po jakimś czasie w senność. Z trudem docieram do łóżka...

... Przejście ze snu następuje w sposób ciągły. Nie ma gwałtownych odczuć, myśli snują się leniwie. Po pewnym czasie zdaję sobie sprawę z tego, że już nie śpię, ale nadal nie mogę zdobyć się ani na przyspieszenie

procesu myślowego, ani na jego przebieg. Dopiero później – godzina? minuta? – zaczyna nad nim panować...

... Trzeba wstać. Co prawda, i tak nie ma to znaczenia. Teraz jest czas Edgara. Ale to potrwa jeszcze ze dwie, trzy doby, a ja muszę w tym czasie, chociażby dla dobra wspólnej pracy, wrócić do pełnej normy psychicznej. Zaczynam także odczuwać głód. Pójdę do Freddiego i razem zjemy obiad albo kolację. Pora doby już dawno straciła dla nas jakikolwiek realny sens.

Biedny Freddie! Jemu wciąż się zdaje, że jest leczony. Gdyby nie ta jego pasja gry, pewnie już dawno zorientowałby się w sytuacji. Zresztą wszystko jest u nas jak w normalnej klinice; a był już w niej, zawsze gdy nad muzyką górę brały narkotyki. Nie wie tylko, że nagrania służące do muzykoterapii są jego własne...

... Zbieram się do wyjścia. Przez szybę widzę śpiącego Edgara. Mamy zupełnie różne cykle w okresie aktywności. On śpi godzinę, półtorej, a potem pracuje siedem lub osiem godzin. Ja usypiam tylko raz, w połowie cyklu, ale na dłużej.

Jestem już na korytarzu, ale cały czas czuję, że zapomniałem o czymś ważnym. Robię kilka niepewnych kroków i naraz przypominam sobie. Magnetofon! Oczywiście, magnetofon...

... Działania frenonu nie pamięta się. Przy przejściu do stanu aktywności ostatnimi pamiętanymi rzeczami są: uczucie gorąca w miejscu wstrzyknięcia, gwałtowne zafalowanie widzianego obrazu, zdudnienie najłżejszych nawet dźwięków, a później już tylko widok pulsującego sufitu i lamp przybliżających się do twarzy i nabierających jakichś surrealistycznych kształtów i znaczenia. W sumie – uczucie jak przy normalnym wstrząsie lub ataku padaczki. Znacznie ciekawszy jest powrót do stanu pasywności. Po prawie całkowitym zużyciu frenonu następują skokowe przejścia ze stanu aktywności do normalnego. Najpierw na ułamki sekund, potem na sekundy, minuty i wreszcie na dobre. Oczywiście, okresy te przedzielone są szczytkowymi momentami aktywności, trwającymi coraz krócej. Tych nie pamięta się, więc odnosi się wrażenie chwili-

owych zaników pamięci, objawiających się gwałtownymi zmianami otoczenia. Ostatnich, sekundowych nawrotów aktywności nie zauważa się nawet...

... Tymczasem prowadzona przez nas na zmianę praca już dawno zatraciła cień chociażby komunikatywności dla normalnego człowieka, a więc i dla nas w stanie niepobudzenia. Co gorsza, nie wiadomo, jaki jest jej stan, perspektywy i możliwy termin zakończenia. Dlatego też przed każdym swoim stanem aktywności zostawiam w pracowni kartkę z przypomnieniem o konieczności nagrania ustnej informacji o przebiegu prac. Muszę szukać kontaktu z samym sobą, bo Edgar, będąc w stanie aktywności, ignoruje mnie po prostu. Dotychczas kartki moje pozostały bez echa...

... Wracam pospiesznie i od progu widzę, że magnetofon prawie na pewno nie był ruszany. Już tylko dla formalności puszczam, ustawioną na zerze, niestety, taśmę i wsłuchuję się w ciszę. Znowu nic. Idę do Freddiego...

... I dopiero po trzydziestym ósmym cyklu taśma ożyła. Nie dało mi to, w efekcie, powodu do zbytniego zadowolenia. Ponieważ Edgar krząta się jeszcze i zostało trochę czasu, słucham jeszcze raz, znów nie poznając siebie...

... Nudny się robisz! Czy myślisz, że nie mam nic ważniejszego do roboty niż informowanie ciebie o czymkolwiek? Oczywiście, że wszystko rozwija się znakomicie. I syntezy, i teoria. Tej zresztą, jeszcze przez wiele lat nikt nie potrafi zrozumieć. Ale nie o to teraz chodzi. Efekt praktyczny rozstrzygnie o wszystkim. I właśnie w związku z tym zwracam się do ciebie. Za kilka tygodni wejdziemy w fazę doświadczeń. Trzeba będzie odpowiednio przygotować Freddiego. Masz zapisane, co i jak mu dawać. I nie przejmuj się jego przejściowym stanem podczas przygotowań.

Łatwo powiedzieć! Do nagrania dołączona była długa lista specyfików. Na oko, działanie niektórych neutralizuje inne, ale zaraz dochodzą następne, które z kolei zmieniają wydzielanie wewnętrzne, co rzutuje znów na wpływ tych pierwszych, i tak w kółko. A że wszystkie te wpływy są jeszcze poprzesuwane czasowo, zgodnie z harmonogramem dawkowania spe-



cyfików, łączne ich działanie jest praktycznie *nie do określenia*. Ale po samym ich składzie widać, że doprowadzą organizm Freddiego prawie do kompletnej ruiny. Dopóki wszystko *to dotyczyło tylko nas*, sprawa była dość prosta. Ale teraz?...

... Wszystko zaczęło się od przypadku. Zajmowałem się wtedy badaniem składu płynu mózgowo-rdzeniowego u chorych na psychozę maniakalno-depresyjną. Po pewnym czasie miałem mnóstwo przebiegów składu u różnych pacjentów przy różnych ich stanach psychicznych, ale nie bardzo wiedziałem, co z tym robić dalej. Nigdy nie byłem specjalistą od obróbki danych. I tu przypomniałem sobie o Edgarze, z którym mieszkałem razem w trakcie studiów. Był matematykiem, i to uważanym za wybitnego. Nie liczyłem nawet na jego bezpośrednią pomoc, ale co najwyżej na to, że skieruje mnie do kogoś kompetentnego i poleci odpowiednio. I nie zawiodłem się. Gdy po dłuższej rozmowie wypełnionej wspomnieniami z college'u wyluszczyłem mu faktyczny powód swojej wizyty, kazał mi po prostu przynieść wszystkie materiały i obiecał, że w ciągu kilku tygodni któryś z jego asystentów opracuje programy ich analizy.

Zadzwonił do mnie po miesiącu i oznajmił, że prowadzona wszelkimi metodami analiza korelacyjna nie wykazała żadnych związków między składem płynu a samopoczuciem pacjentów. Czując widocznie moje rozczarowanie, obiecał, że rzuci jeszcze osobiście okiem na to wszystko. Rzecz jasna, potraktowałem to jako formę grzecznościową z jego strony, toteż dużym zaskoczeniem był dla mnie jego kolejny telefon dwa tygodnie później i osobista wizyta. Okazało się, że stwierdził pewne, chociaż dość dziwne, zależności. Zrobił bowiem coś zupełnie innego niż każdy, kto analizowałby skład płynu. Nie szukał bowiem związku stanu psychicznego pacjentów z obecnością, brakiem czy też ilością w płynie jakiegoś konkretnego związku chemicznego lub wolnego jonu, ale z całym jego składem, a więc zbiorczym bilansem jonowym. I znalazł.

Płyn mózgowy w okresie maniakalnym pacjentów zawierał mniejsze ilości pewnych pierwiastków niż w okresie depresyjnym.

W tym ostatnim pierwiastki te wchodziły w skład innych związków, ale w sposób wybitnie nieregularny. Raz wpływały na zwiększenie ilości *jednego związku, innym razem drugiego*, a kiedy indziej – ich kombinacji. W ten sposób wymykało się to spod kontroli analizy mającej na celu znalezienie regularnych zmian składu płynu. Wniosek był jednoznaczny. W okresie maniakalnym w płynie mózgowo-rdzeniowym musi występować jeszcze jeden związek, który do tej pory nie został wykryty, albo wskutek niedokładności badań, albo z powodu szybkiego rozkładania się.

Zacząłem prowadzić pod tym kątem dalsze badania. Edgar interesował się nimi dość żywo i coraz częściej odwiedzał mnie w klinice. Znalazłem ten związek. Faktycznie rozpadał się szybko i występował jedynie w śladowej ilości. Pozwoliło to tylko na analizę jego składu. Okazał się identyczny z bilansem brakujących jonów. Oczywiście, zacząłem szukać w katalogach związku o takim składzie ilościowym. W stosownym miejscu tabeli, odpowiadającym składowi naszego związku, nie było żadnego wzoru. Był za to indeks publikacji, i to, o dziwo, prawie identyczny z indeksem większości moich prac. Była to stara publikacja Gibsona, który stwierdził obecność takiego związku w płynie mózgowym po ataku padaczki. Byłem pewny, że chodzi tu o ten sam związek, co u nas, i że w jego badaniach musiał on występować w znacznie większych ilościach. Gibson nie interesował się nim dalej. Pracę swoją ogłosił zresztą niejako na marginesie swoich innych zasadniczych prac.

Mieliśmy w klinice wielu pacjentów z różnymi typami padaczki. Wytypowałem kilku. Robiono im analizę składu płynu regularnie co kilka dni oraz każdorazowo po ataku. Nasz związek występował tylko w tym ostatnim przypadku. I rzeczywiście było go znacznie więcej niż u chorych na psychozę maniakalno-depresyjną, nie na tyle jednak, by można było zbadać jego strukturę. Dałbym pewnie sobie z tym spokój albo zostawił komuś innemu, gdyby Edgar nie spytał mnie, czy związek ten występuje u normalnego człowieka. Kazałem sobie pobrać płyn i zrobiłem analizę. Był. U innych także. Ale w ilościach skrajnie ma-

łych. Dalsze rozumowanie było proste. Wnioski także. Frenon, bo tak nazwaliśmy nasz związek, musi mieć coś wspólnego ze stopniem aktywności człowieka.

Edgar nigdy nie zetknął się bliżej z biochemią. Dlatego też od razu zaproponował beztrąsko to, co u mnie było tylko cieniem bliżej nieokreślonej nadziei. Zsyntetyzujemy albo wyodrębnimy frenon i spróbujemy zastosować go do zwiększenia aktywności człowieka. Proste, prawda?

Kilka następnych miesięcy nie posunęło sprawy do przodu. Doszedłem tylko do tego, że potrafiłem z płynu mózgowo-rdzeniowego, gdzie frenon występuje w ułamku promille, uzyskać wyciąg o prawie dwuprocentowej jego zawartości. Ale to było wszystko, co dało się zrobić znanymi metodami. No, i poza tym nadal był on nietruwały. I wtedy Edgar, w prostocie ducha, zaproponował, aby wstrzyknąć mu ten wyciąg. Oczywiście odmówiłem, ale pomysł nie dawał mi spokoju.

Było to może lekkomyślnością z mojej strony, ale zdecydowałem się zrobić to sobie. Sądziłem, że, co najwyżej, grozi mi atak padaczki. Edgar asystował mi, poinstruowany, co ma robić w takim przypadku. Nie miałem odwagi wtajemniczać kogokolwiek innego w ten eksperyment, a już szczególnie specjalisty.

Sam nie pamiętam nic. Po prostu straciłem na jakiś czas przytomność, a po jej odzyskaniu znalazłem się w innym rogu pokoju, na fotelu przy biurku. Wstrząsem była dopiero relacja Edgara. Według niej, w kilkanaście sekund po zastrzyku, wstałem z kozetki i nie reagując w ogóle na jego obecność, zacząłem szybko coś pisać. Po kilku minutach odłożyłem pióro, zacząłem rozglądać się niepewnie i w pewnej chwili powiedziałem coś bez związku. Był to właśnie moment, kiedy, według siebie, odzyskałem przytomność i nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

W pierwszej chwili nie bardzo wierzyłem w to wszystko, ale zapisane kartki, a zwłaszcza ich treść, zmusiły mnie do tego. Były to, ni mniej, ni więcej, tylko projekty trzech metod całkowitej stabilizacji frenonu. Mimo iż wy-

glądały na brednie, wypróbowałem je. Trzecia była skuteczna. Frenon nie rozkładał się już w ciągu kilku minut, ale zachowywał stabilność przez kilka dni. Otrzymanie go w tych warunkach w stanie czystym było sprawą niecałego tygodnia. Ale znowu kolejne miesiące nie przyniosły nic nowego. Owszem, poznaliśmy strukturę frenonu, ale, wskutek niezajomości katalizatorów umożliwiających jego syntezę w organizmie, nadal nie mogliśmy wytwarzać go sztucznie. Pozostawało tylko pobieranie próbek od siebie. Z praktycznym zastosowaniem także nie posunęliśmy się do przodu. Ustaliliśmy tylko minimalną dawkę, konieczną do przejścia w stan aktywności. Mniejsze dawki pozostawały bez widocznego efektu, a większe wydłużały okres aktywności. Obaj byliśmy w tym stanie po kilka razy i obaj robiliśmy wtedy jakieś notatki, ale były one absolutnie niezrozumiałe. U mnie były to fragmenty jakichś przekształceń chemicznych, a raczej ślady myślenia nad nimi. Edgar układał jakieś dziwne schematy, złożone z połączonych strzałkami prostokątów i kółek. Wszystko to było poznaczane albo symbolami cyfrowymi, albo znakami zapytania. Sam, będąc w normalnym stanie, wzruszał tylko nad tym ramionami. Dziwne to, ale unikanie jakiegokolwiek opisu słownego pozostało nam do dzisiaj. Stosunkowo najwięcej dowiedzieliśmy się o wydzielaniu frenonu w organizmie. Było go tym więcej, im w lepszy, bardziej aktywny czy też twórczy nastrój potrafił wprowadzić się dawca. Można to było uzyskać także pod wpływem narkotyków. Aby móc oddać sensowną ilość frenonu, konieczne było także zażycie pewnych specyfików. Określiliśmy również, teoretycznie oczywiście, maksymalne dawki frenonu, jakie można oddać i pobrać. I, zasadniczo, behawiorystyczny opis wydzielania go w organizmie był naszym jedynym istotnym osiągnięciem tych miesięcy. Doszliśmy do zgodnego wniosku, że tu właśnie kończą się nasze realne możliwości i nie pozostaje nic innego, jak opublikować dotychczasowe wyniki i otworzyć problem dla innych.

Wtedy zrobiło nam się po prostu żal naszej dotychczasowej pracy. Byliśmy przecież na tropie odkrycia o potencjalnie oszałamiających

możliwościach zastosowań i nietatwo przychodziło nam pogodzić się z myślą, że spełniliśmy jedynie rolę odkrywców problemu. Szczególnie nie zadowalało to Edgara, który, nie licząc swoich własnych znakomych pomysłów inspirujących, wkład swój ograniczył tylko do matematycznej analizy wydzielania frenonu. Nie wspominam już o tym, że od paru miesięcy zarzucił prawie zupełnie swoje czysto matematyczne prace.

Projekt dojrzał przez kilka tygodni i każdy z nas wniósł coś do niego. W założeniu był oczywisty. Skoro nie potrafimy posunąć się do przodu, dalej powinniśmy pracować pobudzani frenonem. Przecież najistotniejszy do tej pory problem rozwiązałem właśnie pod jego wpływem! Decyzja została przez nas podjęta zadziwiająco szybko, jednomyślnie i bez żadnych skrupułów. Pozostawały tylko szczegóły techniczne. Jako dawcy frenonu tylko my dwaj wchodziliśmy w rachubę. Każdorazowe oddanie go jest bowiem zbyt wyczerpujące i wymaga odpowiedniego samopobudzenia wstępnego, co zakłada pełną świadomość dawcy o całokształcie sytuacji. A przecież nie mogliśmy nikogo więcej wtajemniczać. Wszak etyka naukowa dawno już została daleko za nami. Oczywiście więc było, że pracować będziemy na zmianę, na przemian oddając sobie frenon. Wydzieliłem w klinice część pomieszczeń do swojej wyłącznej dyspozycji, przyjąłem do niej Edgara na rzekome leczenie nerwicy i rozpoczęliśmy.

Już po kilku cyklach straciliśmy kontrolę nad przebiegiem prac, to znaczy przestaliśmy rozumieć, będąc w normalnym stanie, cokolwiek z tego, co robimy w okresie aktywności. Utwierdziło nas to w przekonaniu o tym, jak złożony problem napotkaliśmy i zachęciło do dalszych wysiłków. Musieliśmy tylko znaleźć sposób jednoczesnego przechodzenia w stan aktywności, aby móc konsultować z sobą przebieg prac. Przestudiowałem karty pacjentów kliniki i znalazłem Freddiego, skrajny przypadek narkomanii. Przeniósłem go do naszej części kliniki i leczyłem dalej, chyba nawet skuteczniej, niż leczono go dotychczas, gdyż dawałem mu niewielkie nadwyżki frenonu,

jakie nam pozostawały. Zagłuszały one jego głos narkotyku i chociaż nie powodowały przejścia do stanu aktywności, to wyzwalaly w nim tę cudowną muzykę. W zamian, pobieraliśmy mu od czasu do czasu niewielką ilość frenonu. Pozwalała ona na uzyskanie przez nas obu jednocześnie kilkunastu minut stanu aktywności. Nagrania magnetofonowe tych konfrontacji, mimo niewielkiej ich komunikatywności, wykazały, że przynajmniej jesteśmy zgodni co do właściwego rozwoju prac i tego, że uzupełniamy się w nich nawzajem. I tak minęło już trzydzieści osiem cykli...

... Spoglądałem na Edgara. To już ostatnie minuty aktywności i zacznie się przejście. A więc jeszcze z dziesięć godzin i nadejdzie moja kolej. Na razie trzeba przespać się trochę. I zdecydować się, co robić z Freddie. Kładę się, gaszę światło i od razu wraca dręczący mnie od kilku cykli schemat myślowy...

... Według wszelkich danych pracujemy nad znalezieniem sposobu zwiększania aktywności, a więc i możliwości mózgu człowieka, ale w sposób łagodny i długotrwały, bez konieczności stosowania wstrząsu frenonowego. Z tego, co można było zrozumieć, wynika, że widzimy tu trzy możliwe drogi. Albo odpowiednie dawkowanie zsyntetyzowanego frenonu, gdyby okazało się, że można stopniować jego wpływ, albo to samo z jego ewentualnymi pochodnymi, albo też stymulacja wydzielania i utrwalania frenonu w organizmie. Oczywiście, ostatnia droga wydaje się, z punktu widzenia laika, a tylko za takiego mogę się w tej chwili uważać, najlepszym rozwiązaniem, ale nie wiadomo, w jakim kierunku poszły nasze prace. Z konsultacji wynika, że kilkakrotnie zmienialiśmy koncepcję, a co gorsza, powstały też zupełnie nowe. Z każdym cyklem dalsi jesteśmy od jakiegokolwiek komunikatywności, nawet z tak wybitnymi specjalistami, jakimi jesteśmy na co dzień. I już widać, że jakkolwiek by był końcowy efekt naszych badań, nie przysporzy on nam sławy naukowej, przynajmniej obecnie. Jeżeli nic nie osiągniemy – będzie to oczywiste. Jeżeli, co jest zupełnie

możliwe, dojdziemy tylko do teoretycznych rozwiązań, niemożliwych do zastosowania, chociażby ze względu na aktualny poziom technologii chemicznej, nie chcąc narazić się na śmieszność, nie będziemy mogli niczego opublikować. Przecież byłoby to absolutnie niezrozumiałe! Jeżeli natomiast znajdziemy rozwiązanie praktyczne, na przykład w postaci jakiegoś specyfiku, to z analogicznych względów nie będziemy mogli zaprezentować drogi, jaką do niego doszliśmy, i uznani zostaniemy za przypadkowych odkrywców...

... A sytuacja zaczyna się komplikować. Z zarejestrowanego przekazu wynika, że niedługo zaczniemy w okresie pasywności być wykonawcami swoich własnych poleceń i prace potoczą się w dwóch równoległych płaszczyznach. W końcu trzeba będzie zdecydować się, co zrobić z Freddim. Zasadniczo, nie powinno być żadnych wątpliwości, należy ślepo podporządkować się zaleceniom, ale...

... Zapewne, współpracując tyle czasu z Edgarem, powinienem stać się po trosze matematykiem, tak jak on – biochemikiem. Ale dlaczego to właśnie ja zaczynam wprowadzać coraz więcej elementów matematyki do naszych prac? I to zupełnie nowych... Gdyby ograniczało się to tylko do nowych rozwiązań czy nawet do nowych pojęć! Ale według wszelkich danych, są to zupełnie nowe kierunki!

A przecież nie korzystam z żadnych źródeł poza notatkami Edgara. Być może, iż rozwijam jego idee, ale w jaki sposób w trakcie nagranych konsultacji wnoszę tyle czysto matematycznych poprawek do jego koncepcji i dlaczego on najczęściej zgadza się ze mną? Tak samo jest, zresztą, z czysto biochemicznymi pracami Edgara. Czyżbyśmy więc wykryli nie środek aktywizujący mózg, a jeszcze jeden specyfik pobudzający wyobraźnię, jeszcze jeden, być może najdoskonalszy, narkotyk? I czy nie brniemy coraz dalej w iluzję, w pseudonaukowy bełkot, pełni uwielbienia dla siebie? Czy naprawdę robimy coś nowego? Czy nie stanowimy tylko duchowej klepsydry przysypującej tę samą zawartość z jednego umysłu do drugiego? Możliwe, że oddając sobie frenon, przekazujemy jednocześnie coś ze swojej osobowości czy nawet zawartości pamięci. Ale przecież nie mnożymy przez to swego potencjału twórczego, ale co najwyżej zmieniamy jego lokalizację. Czy nie zatrzyma nas w tym wszystkim dopiero śmierć Freddiego lub kogoś z nas? Ale, z drugiej strony, przy pierwszym pobudzeniu frenonem dokonałem rzeczywistego odkrycia. Może jednak tkwiło już ono w mojej podświadomości i każdy inny, dostatecznie silny impuls wyzwoliłby je? W końcu nie była to i tak żadna rewelacja...

... Dosyć! I tak do niczego nie dojdę. Trzeba spać. Muszę być wypoczęty, by z pełną koncentracją rozpocząć trzydziesty dziewiąty cykl...

